XXVII. Kraków, 1 lipca 1924 r. Nr. 13.

„BOCIAN"

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. 95 (dom własny) Telefon Nr. [illegible]

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem

PRENUMERATA miesięczna z przesyłką pocztową 1 zł. 40 groszy — Zagranicą podwójnie. W Ameryce rocznie **8 dolarów.**

CENY OGŁOSZEŃ: w części inseratowej na stronie 7-ej za 1 wiersz milimetrowy jednoszpaltowy 15 groszy, cała stronica Zł. 200.—, pół stronicy Zł. 100·—, jedna czwarta Zł. 55·—, jedna ósma Zł. 30·—, jedna szesnasta Zł. 20·—, w części redakcyjnej na str. 2, 3, 4, 5 i 6 tekstu za 1 wiersz milimetr. jednoszpaltowy 40 groszy; maksymalnie pasek 40 mm. wysokości, 25 cm. długości Zł. 46·—. — Ogłoszenia zagraniczne 100°/₀ drożej. — Oprócz ceny za zajęte miejsce, należytość za klisze według cen bieżących obecnie Zł.—, 15. za cmt. kwadratowy. — Ogłoszenia kolorowe 100°/₀ drożej.

Numer pojed. 75 groszy W Warszawie do nabycia wszędzie. W Łodzi Biuro dzienników „Promień" Piotrkowska 51.

Uprzejma oferta



— Patrz, muskuły mam mocne i wielkie jak wzgórza,
pięść twardą, w pięści siłę na miarę bawołu.
Moja męskość cię porwie jak wicher, jak burza,
i polecim w świat grzechu, jak w piekło pospołu...

— Tak, jesteś bardzo silny i bardzo cię lubię,
tym bardziej że twój pieniądz mój opór zwycięża,
— lecz powiem bez ogródek poddawszy cię próbie
że zamiast grać kochanka, zagraj rolę męża.

„Jako amant za prosty jesteś i za nudny.
Muskuły masz jak kamień, ale brak ci wdzięku —
Kochanek ma być smukły i blady i cudny
i musi serca kobiet, jak wosk rzeźbić w ręku.

Masz taką moc dolarów i willę i auto...
Weź mnie, miły za żonę, weź duszę i ciało.
Blady amant szczęśliwy byłby. gdyby miał to
On kradzione pieszczoty, ty masz zawsze całą.

Nad morze.

I.

Kto może nad morze wybiera się w lecie,
do Gdańska, do Sopot, do Gdyni, na Hel...
Tu nuda nas gryzie, tu troska nas gniecie
tam wicher, swoboda i błękit i biel.

Na plaży po twarzy nas głaska wiatr miękki
plusk fali szum dali jak muszla nam gra
z kawiarni orkiestra szalone śle dźwięki
i śmiechy i grzechy i radość: ha ha!!

Ach! spacer po molo, — ach! jakże przyjemnie
pod rękę z dziewczynką przytulnie en deux...
Tu mewy, jak piłki w łuk skaczą przezemnie
tam piana, jak grzebień nurt czesze i gnie.

Wsiadamy do łódki, Ej, chłopcy do wiosła!..
W takt równy spokojny zanurzyć i wznieść...
Zmierzch cichy, sierp, — księżyc, noc srebrna [i wzniosła:
Siądź przymnie maleńka i całuj i pieść...

Na piasku w południe jest bosko i cudnie
w kąpieli się pluszczą dziewczątka et — et
ty idąc się niby obracasz obłudnie
lecz tańczy ci serce i pali się krew.

Sto ciałek różowych, na słońcu się grzeje,
sto główek leniwie spoczywa w półśnie —
sto małych serduszek zamiera i mdleje
w pogańskiej pół-żądzy (w pół-nie chce, w w pół- [chce).

Przechodzisz ostrożnie i stąpasz z uwagą
bo nie chcesz nadeptać — tu nóżka, tam bark,
sam czujesz się lekko, sam biegasz wpółnago
i kąsasz nabrzmiałość spragnionych swych warg.

II.

A wieczór jest festyn, zabawa na wodzie.
Więc łodzie lampiony, szalony krzyk — gwar,
wspaniały jacht płynie i dziobem toń bodzie,
na jachcie muzyka, i taniec i czar.

Strzelają na wiwat, stalowe okręty
podnoszą kotwice i płyną w snów świat,
majtkowie się bawią i bose ich pięty
po deskach pokładów strzelają jak bat.

I zwolna przemieniasz, przekształcasz się cały,
opalasz się, krzepniesz, nabierasz moc sił
odmłodzisz swe serce, uzdrowisz swe „gały"
zniszczone miast smokiem, co z ciebie dech pił.

I stajesz się morzem i majtkiem i mewą
i pływasz jak ryba i kochasz grę fal
kołyszesz się w prawo, kołyszesz się w lewo
jak okręt, jak morze. jak morskich mgieł dal.

III.

I gdy ci do czarta to życie się znudzi
te miasta, te zgniłe wyziewy z ich den
to zakniesz, jak sternik i gwizdniesz na ludzi,
i pluśniesz do wody, popłyniesz gdzieś hen...

Na plecach wygodnie wyciągniesz się nagle
popłyniesz, jak łódka spokojnie na wznak
koszulę na lasce rozepniesz, jak żagle
i wiatr cię poniesie w swych szponach, jak ptak.

I będziesz żeglarzem, rozbitkiem z powieści,
Robinzon Cruzoe uściśnie ci dłoń
zielona cię nimfa na skale popieści
i trąbą cię trąci słoń morski, cud — słoń.

Więc jazda nad morze kto może, mój Boże!
w swobodzie i wodzie ukąpać swój łeb...
odrzucić obroże, niech głupiec gnój orze!
— nad morze jedź chłopie, jeżeliś nie kiep.!

Na Szpitalnej

Gajer (do kupującego cicho) Między nami mówiąc, ja panu to ubranie sprzedam za 50 melonów

Kupujący: Za 50 melonów. I czemu pan to mówi tak cicho?

Gajer: Pst! Mój brat co stoji tu obok ma wadę sercową, a jak on usłyszy, że ja panu to ubranie tak tanio sprzedaje, to jego może z żalu szlag trafić.

Z pod znaku Marsa.

Pan sierżant odbywa z rekrutami lekcje salutowania. Majer żydek z Tarnowa nie może jednak jakoś pojąć. Po długiem tłumaczeniu, gdy sierżant był pewny, że uczeń go pojął rzekł:

— Teraz ja będę przedstawiał wagon ministra wojny, a ty masz oddać przepisany ukłon...

To powiedziawszy, zerwał się z miejsca i pomimo tuszy, sapiąc przebiegł koło Majera, który ani się nie ruszył, ani nie salutował.

— A ty bydlę! — woła sierżant — dlaczego nie salutujesz przed wagonem pana ministra?

— Ny! — odparł uśmiechnięty Majer — po co ja mam salutować, jak w nim nikt nie siedział?

W kawiarni „City"

Pan Pinches przychodzi do kawiarni „City" i każe sobie podać porcje lodów. Kelner podaje mu a pan Pinches po pierwszej łyżeczce odsuwa talerzyk.

— Nu co jest panie Pinches? pyta kelner

— Nu co ma bić? odpowiada Pinches

— A dlaczego pan odsuwa lody? pyta dalej kelner

— A dlaczego ja nimam odsuwać lody? mówi gość

— Albo te lody są może niedobre? pyta kelner

— Albo ona są dobre? mówi gość

— Może pan jadł już lepsze lody? pyta kelner

— Może ja nie jadłem lepsze lody? mówi gość

— U nas? U nas w „City" pan jadł lepsze lody?

— Albo kto ciebie mówi, co u was jadłem lepsze lody?

Kłopot emancypantki.

— Co?... W Krakowie niema nawet nocnych kawiarni?

— Widzę, że będę zmuszona poszukać sobie mieszkania!...

Angielska historyjka.

Londyn. Piccadilly. Pewien gentleman spaceruje wolno i poważnie. Zbliża się do niego ciemne indywidum, mówiąc:

— Proszę szylinga.

Gentleman nie odpowiada i spaceruje w dalszym ciągu.

— Proszę o szylinga — powtarza żebrak. Gentleman udaje, że nie słyszy.

— Więc nie dostanę szylinga?

Milczenie.

— Jeżeli nie da mi pan odpowiedzi, zrobię coś takiego, czego nigdy w życiu nie robiłem.

Gentleman zatrzymuje się, wyciąga szylinga i pyta:

— A cóż byś zrobił, gdybyś nic nie dostał?

— Pracowałbym.

Na wycieczce.

(Autentyczne).

Na wycieczce w Tatrach góral-przewodnik przeprowadza towarzystwo po jednej z uroczych dolin podzakopiańskich.

— Tu je dobre echo! — powiada zachwycając się wspaniałością tego zjawiska i twierdząc, że podobnie pięknego echa niema w całych Tatrach.

— To ciekawe — mówi jeden z panów. — Panie M., dajno pan rewolwer, spróbujemy...

— A może sztylet wystarczy? — pyta naiwnie mało orjentujący się jegomość.

Rozmówca.

Ona: Czy myślał pan kiedyś nad małżeństwem?

On: Nawet bardzo wiele.

Ona: I dlaczegoż pan się dotychczas nie ożenił?

On: Właśnie dlatego, że myślałem.

Wierność.

Izaak i Jakób, dwaj przyjaciele mieli wspólną przyjaciółkę. Była ona najzupełniej zadowolona ze swojego położenia i najspokojniej w świecie udzielała się jednemu i drugiemu, uważając to za rzecz najnaturalniejszą i prostą. Powodziło jej się doskonale. Trzy noce tu, trzy noce tam a niedziela wspólna.

Pewnego razu przyjaciółka dwu druhów wyjechać musiała do Wiednia. Izaak pojechał za nią i bawił tam dłuższy czas wyzyskując ją całkowicie dla siebie. Zaniepokojony Jakób depeszuje parokrotnie. Żadnej odpowiedzi.

Po pewnym czasie dopiero przychodzi lakoniczny list od chytrego Izaaka.

„Szczęśliwcze masz syna. Było dwoje bliźniąt, ale moje umarło".

Głos dziecka...

Matka miała grypę, i lekarz polecił leżeć jej w łóżku z powodu znacznie podwyższonej temperatury. Mała Irena jest bardzo zaniepokojona o mamę i na drugi dzień przy wstawaniu pyta zaraz:

— Ojcze, czy mama miała w nocy większy temperament?

Poniosło go.

Pewien stary doktór mówiąc o epidemjach szerzących się po wojnie i zagrażających ludzkości westchnął.

— Straszne! Umierają już nawet tacy, co dawniej nigdy nie umierali.

Podsłuchane na plantach.

Ona: Więc będzie pan napewno? Trzymam pana za słowo.

On (tonem wymówki): Dobrze wychowana panna nie powinna nigdy trzymać mężczyzn — za słowo.

Ona (zadziwiona): Dlaczego?!...

On (uroczyście): Albowiem napisano jest, że *słowo może stać się — ciałem.*

Między obywatelami.

— Wiesz komu przyznano pierwszą nagrodę na ostatniej wystawie bydła?

— No komu?

— Mnie, złoteńku, mnie!...

Dwuznaczny anons.

W pewnym popularnym piśmie krakowskim w dziale „Nauka i wychowanie" pojawił się następujący anons:

„Angielka, dobrze władająca językiem poszukuje posady.

Na wsi.

— U nas w chałupie — to wszyscy zaczynają się na J. Ojciec Jantoni, matka Jagnieszka, siostra Jewa, brat Jignacy. Ja tylko jedna nie!...

— A jak się nazywasz?

— Ljulja a wołają mnie Ulka...

W tramwaju.

Konduktor: Proszę bilety.

Pani: Proszę dla mnie cały, a dla tego małego pół biletu.

Konduktor: Niemożliwe, chłopak nosi długie majteczki, musi kupić cały bilet.

Pani: To bardzo dobrze, proszę zatem dla mnie pół biletu a dla chłopca cały.

Obok siedząca panna: Nadzwyczajne, wobec tego ja nie potrzebuję żadnego biletu.

* * *

Pani Nowobogacka jedzie z córeczką do Nicei. Przybywszy do hotelu telegrafuje małżonkowi: „Nous sommes parvenus".

Wycieczka do Tyńca.

(Dokończenie).

VII.

Pani Paluszkiewiczowa zdyszana i zmaltretowana nieco leżała sobie dnem do góry na murawie. Pot spływał z jej szlachetnego czoła i długą, szeleszczącą strugą ściekał ku Wiśle, a na strudze tej mały Jaś pomysłowy żeglarz puszczał maleńkie okręciki z papieru klozetowego.

Obcokrajowcy tymczasem rozglądali się nieco bojaźliwie, lecz z radosnem pokrzykiwaniem po okolicy i rozleźli się po wybrzeżu, jak stado parszywych owieczek.

Wielu pobiegło w krzaki odrazu z miejsca bez namysłu i bez zastanowienia — inni z rozkosznem pochrząkiwaniem i westchnieniem rozkładali swe ciała na miękkiej murawie i z cicha pęk pod krzywym nosem nucili sobie „Tiline". Byli i tacy śmiałkowie, którzy bez chwili wahania popchnięci straszliwym bodźcem zdobywczej odwagi puścili się w podróż podróżniczą w kierunku tynieckich ruin.

— Chaim, pospieszaj cpręndzej....

— Ty Puryc, ty mi daj spokój!

— Nie pójdziesz podglądnąć ten staroświecki budynek?

— Ja jego podglądne z dalekiej odległości. To nie jest bezpieczne wyprawe, takie ruine może się zawalić...

— Jesteś wcale głupi. Jak ono sze nie zawaliło przez sto tysięcy lat, to ono sze nie zawali dla twoji przyjemności..

— O, bardzo piękne przyjemności. Idź ty, niech tobi pacnie taki kawałek kamienia na głowę. A zresztą tam może mieszkać pustelnik.

— Oj, co jest pustelnik?..

— Pustelnik to jest taki goj wyschnięty na patyk, co siedzi w dziurke w ziemi i połyka fajn korzonki.

— Kto jemu za to płaci?...

— Jemu nikt nie płaci. On jest taki bogobojny menszczyzna. Taki to wszystko robi za darmo.

— Jaby jego wziął do miasta. Jaby jego pokazywał w cyrku za drogie piniondze. Zapoznaj mie z taki dureń, ja chcę z nim robić interes...

Tak rozprawiali starozakonni gestykulując żywo, a wielu z nich wdarło się istotnie na mury Tyńca, przechadzając się po nich ostrożnie, poomacku i z uwagą, by sobie przypadkiem nie złamać żadnej kości.

Skoro pani Paluszkiewiczowa odetchnęła i wypoczęła nieco, ruszyła się i ona z posad, a za nią porwały się ochotnie cała stada jej dzieci ile ich tylko było. Pan Paluszkiewicz zgnębiony tylu przygodami, skurczony i drżący podreptał za nimi z tyłu w dość znacznej odległości i uśmiechał się z zalotną kokieterją do swojej lepszej połaci ilekroć ona odwróciła się ku niemu twarzą.

Poszli w stronę klasztoru, a ziemia drgała pod tym potężnym pochodem.

Teraz dopiero zamrowili się i ruszyli z legowiska pozostali pasażerowie, czując się bezpiecznie pod jej opiekuńczem a tylekroć wypróbowanem skrzydłem.

VIII.

Była godz. 5-ta popołudniu, gdy karawana podróżników stanęła na murach Tyńca.

Dziedziniec.

Ho ha, co za wspaniały dziedziniec.

Pan Paluszkiewicz zaśpiewał:

— „Piękna nasza Polska cała" —
piękna, żyzna i niemała.

Żydzi kiwali główkami i cmokali uroczyście. Czarnogórcy szybko zapisywali coś w notesach:

— Proastlo kolo Mirotrkosto — hymn narodowy polski „Piękna nasza Polska cała".

— Patrzcie dzieci — skomlał cichutko ojciec rodu — oto dziedziniec klasztoru po którym niegdyś chodzili tam i z powrotem mnichowie klepiąc swoje pobożne pacierze.

— Tatusiu, a czy oni się tu bawili w chowankę?

— Dlaczego, synu mój maleńki?

— A bo tu tak dużo tych murów i kamieni dziur ślicznych. Można się tutaj bawić w wojsko ub w chowankę.

Poczem dziatki rozbiegły się i poczęły z właściwą rodowi Paluszkiewiczów ciekawością buszować po zaułkach ruin. Napróżno rodzice nawoływali je, bojąc się nagłych i niespodziewanych wypadków.

Ale w tem i ją, tą dostojną matronę, tę ozdobę płci szlachetnej porwał zapał, wzruszenie chwyciło ją za gardło, a patrjotyczna duma uniosła ją na wyżyny dzikiego entuzjazmu.

— U ha! — ryknęła białogłowa i dała tak potężnego susa w górę, że od tego podskoku zatrząsł się dziedziniec klasztorny, a wszyscy odważni podróżnicy w panicznym popłochu pobiegli w ruiny i ukryli się tam dokładnie nie śmiejąc oddychać z trwogi.

A ona tańczyła, pląsała, chwiała się, przytupywała nóżką z wdziękiem i grzmotem i brała się zalotnie pod boki, śpiewając:

— „Krakowiaczek ci ja, w Krakowiem się rodził".

Czarnogórcy znowu coś pisali w notesach.

— Zono, daj pokój — błagał pan P. — To nie jest „komil fatl" — To wcale nie wypada. Ludzie się patrzą!

Ocknęła się i zaprzestała choreograficznych popisów uśmiechając się do wyglądających z za kamieni pasażerów.

— To nic. Zrobiło mi się wesoło na du szy — tłumaczyła się — już nie będę.

IX.

Zwiedzali gruzy i ruiny obrośnięte pleśnią i zielskiem i dziwili się bardzo.

— Aj, jakie to stare kamyki — cmokali Żydzi.

— Ty nie masz pojęcia jakie to byli czasy.

— Co to mogli być za czasy? Człowiek jest zawsze taki sam, on sze nie może zmienić.

— A ja ci mówię, że on sze zmieniał.

— Czy oni mieli ogony na plecach, czy oni mieli osiem nogi u kadiuba? Oni mieli takie same 2 nogi jak ja i ty, Salomon!

— To byli wielcy ludzie, rozumiesz! Tybyś im dostawał do kolano. Jakby cię taki zakoński facet kopnął, toby ci tlaki wykopał z brzucha, auf najnemunes!

Wtem krzyk.

Pani Paluszkiewiczowa wpadła na dno jednej z dziurawych komnat klasztornych. Stoczyła się bezwładnie i leżała jęcząc głucho.

— Pomocy, ratunku ludzie! Patrzcie, jak tutaj strasznie! Tu djabły pewnie siedzą! Ratunku!

Próbował podać jej rękę pan Paluszkiewicz, ale gdy chwyciła się go jednym palcem nie mógł zachować równowagi i runął do wnętrza dziury za jej przykładem.

Dopiero gdy z parostatku sprowadzono liny i sznury udało się zbiorowym wysiłku dwudziestu chłopa wyciągnąć ją z niedoli.

X.

Wkrótce potem podróżni zeszli z powrotem ku wybrzeżu i zasiedli na wiślanej plaży, wyjmując z torb i plecaków miłe, jadalne zapasy gwoli zaspokojenia swoich rozwierzganych żołądków. Poczęły fruwać papiery, a skorupki z jajek wpadały do wody tonąc bezpowrotnie.

Tymczasem, jako już rzekliśmy na początku opowieści wieksza ilość obcokrajowców wyłusknęła się z szat i leżała w malowniczych, lecz niezbyt skromnych pozach na kamieniach i piasku. Wówczas to jeden z młodocianych Paluszkiewiczów zaobserwował pewien ważny szczegół, który uprawnił go do twierdzenia, że wyżej wzmiankowani obcokrajowcy są w rzeczywistości niczem innem jak tylko gromadą „galicyjskich" Żydów.

Zwierzył się z tem ojcu i kapitanowi okrętu.

Ci nie pytali malca wcale skąd i jak w tak młodym wieku nabył talentu rozróżniania tak delikatnych subtelności na grzesznem ludzkiem ciele — lecz porwawszy się na równe, długie i wyprostowane nogi wydali okrzyk głośny:

— Hańba!

Poczem zwołali wszystkich majtków, Czarnogórców i innych na naradę, a potem na pokład.

Obcokrajowcy patrzyli na to ze zdumieniem, nie wiedząc, co się święci — ale gdy ruch współpasażerów zaniepokoił ich poważniej poczęli tłumnie garnąć się w stronę parostatku przywdziewając pospiesznie swoje porozrzucane szaty.

Ale wtem okręt ruszył.

— Stój! Stój! — zaryczeli nieszczęśliwcy.

Okręt, ich okręt odbija od brzegu i zostawia ich tu w tej bezludnej krainie na pastwę napadów ludzkich i zwierzęcych. Nie — to doprawdy zbyt straszne.

Łkaniem i lamentem napełnili powietrze.

Biegali po wybrzeżu tam i nazad, wskakiwali do wody i równie prędko wyskakiwali z powrotem, jęczeli boleśnie łamiąc ramiona i chwytając się za głowę. Ryk i wycie były tak potworne, że Wisła wylała ze strachu i pędziła ku brzegowi niosąc szybko z powrotem oddalający się okrutnie parowiec.

Trzask, prask!!!

Trzasnął statek o plażę, rozbił sobie przód wyniosły i zarył się nosem w mieliznę.

Kapitan i majtkowie rzucili się oglądać poczynione szkody. Były wielkie i przed nadejściem nocy nie było mowy o naprawieniu ich dotyle, by można było ruszyć w powrotną drogę!

Trzeba było pochylić z rezygnacją głowy, a nosy spuścić na kwintę i rozłożyć się obozem na wybrzeżu.

Gdy oznajmiono wszem wobec i każdemu z osobna o katastrofie przerazili się bardzo.

Lecz trudno.

Losowi poddać się trzeba.

■ ■ ■

Co jest szczytem wstydliwości.

Gdy panna biorąc do ust szparag — już się rumieni.

■ ■ ■

Wymagająca.

Pewna dama z prowincji w hotelu:

— Nie, proszę pana, ten pokój jest dla mnie stanowczo za mały. Stać mnie na coś porządnego. Nie rozumiem, jak możecie przypuszczać, żebym w takiej małej norze...

— Ależ pani — przerwał portjer — to nie pokój, to — winda.

■ ■ ■

W dzisiejszym salonie.

— Jak się panu podobała opera?

— Wspaniała. Miałem doskonałe miejsce, akustyka prześliczna...

Pani Nowobogacka (przerywając): Tak? A w jakiej występowała tualecie?..

■ ■ ■

W Krynicy.

Piękna mecenasowa X. z Warszawy bawi obecnie w Krynicy i zwraca na siebie uwagę wszystkich swojem zachowaniem się. Pozwala mianowicie pewnemu pilotowi nadskakiwać sobie. Jedna z jej przyjaciółek robi jej z tego powodu wyrzuty.

— Nie spodziewałam się po tobie, moja kochana, że ty, która tak zawsze kochałaś swego męża, pozwolisz zbliżyć się do siebie temu kapitanowi od pilotów.

— Ależ moja kochana — usprawiedliwia się piękna mecenasowa — mój mąż nie chce do mnie przyjechać, a jeśli się nie ma tego, co się kocha, to się kocha to, co się ma!

■ ■ ■

Wzorowa lalka.

W domu państwa Z. bywa pan Jerzy w charakterze konkurenta do rączki najstarszej córeczki Oli. Właśnie siedzi z nią na sofce, gdy do saloniku wchodzi mały braciszek Oli i pokazuje im swoją lalkę.

— A ładnie... mówi panna Ola.

— Śliczna lalka — woła p. Jerzy.

— A czy twoja lalka umie mówić?

— Umie — mówi mały.

— Mówi, gdy się pociśnie tu zwierzchu? — pyta pan Jerzy.

— Mówi — odpowiada mały — ale nie tak jak Ola:

„Fe, daj pan spokój, bo jeszcze ktoś zobaczy!

■ ■ ■

U fryzjera.

— Czy to ta sama brzytwa, którą mie pan golił ostatnim razem?

— Tak, proszę pana.

— W takim razie proszę mię poprzednio zachloroformować.

Słodki dzień.



Wesoło mi dzisiaj, świat do mnie się śmieje
wiec nóżkę na nóżkę zarzucam i śnię,
papieros tli w palcach i dymem w nos wieje
— ja kocham cię mała! Czy kochasz ty mnie?

A zresztą do licha nie troszczę się o to,
świat piękny jest dzisiaj i dobrze mi jest —
wystarczy, że jesteś i z miękką o: hotą
podajesz swe usta, ten cudny swój gest...

Oplatasz mą szyję gorącem ramieniem
i cicho szczobioczesz o szczęściu, o snach...
Mój cień się na ścianie całuje z twym cieniem.
Przeginam cię wiotko. Ty szepczesz mi: ach!

To jedno słóweczko kapryśne, maleńkie
bez treści, a mieści tak wielki swój czar,
że klaszczę z zachwytu i zsuwam sukienkę
i pragnę i kocham mą śliczną, mój dar.

Bo jesteś tak zwinna i taka kusząca,
jak smagła tancerka ze Wschodu, z pod gwiazd
— gdy zbliżasz się do mnie mózg mi się zamąca
i huczy mi w głowie, jak turkot stu miast.

Krew bije mi w skroniach, mgła oczy mi słoni
nerw każdy drga we mnie, jak struna, jak włos.
Oh, powiedz, że kochasz i wcałuj w puls skroni
to słowo najdroższe, najmilszy twój głos.

Beznadziejność



Przegrałem wszystko w karty i nie wiem co będzie,
zrujnowali mię całkiem ci przeklęci ludzie
Znów chyba się do pracy od podstaw zasiędzie
i przyjdzie znów się zginać w nieprzyjemnym trudzie.

Straciłaś swoje auto, już nie masz swej willi
którą ci zbudowałem na złotej Rivierze.
Wszystko mi zrabowali i bank mi rozbili
— jestem bankrut kobieto — powiadam ci szczerze.

Nie pomogą pieszczoty i flirty i śmiechy
nie pomoże szał zmysłów, co było nie wróci...
Za co na mnie to spadło i za jakie grzechy,
Bóg wie jeden, los dziwny, co bawi i smuci.

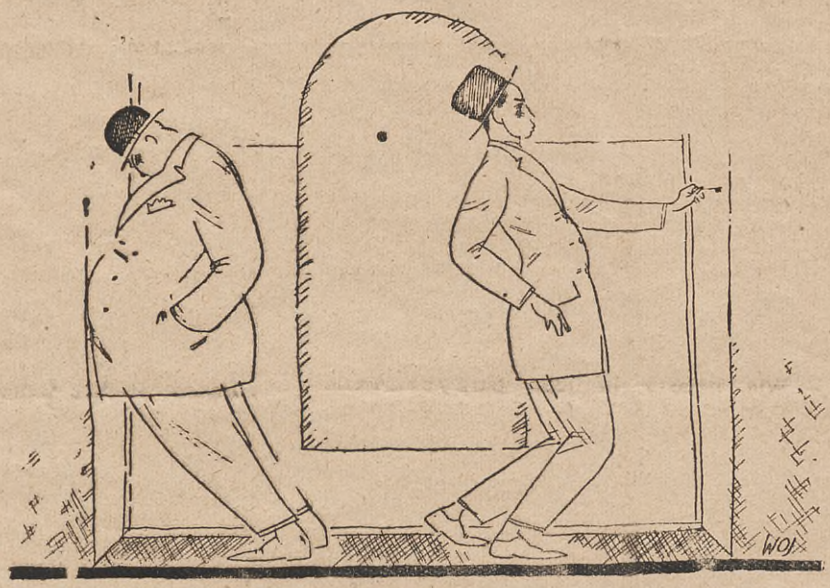
Chyba sobie w łeb palnę, bo już nie mam poco
żyć tutaj w wstrętnem jarzmie powtórnych wysiłków.
Niech się inni cierpliwi bez końca szamocą.
Wolę zginąć, jak jeden z tych najmniejszych pyłków.

Dziękuję ci dziewczynko, że mnie chcesz rozchmurzyć
ściągnięte troską czoło i mój wzrok żałosny.
Odejdź sobie w świat piękny, nie wolno mi burzyć
twoich marzeń o szczęściu i twych uczuć wiosny.

Weź sobie te klejnoty i zanieś swe wdzięki
innemu, co cię znowu otuli przepychem.
Mój żywot kula przetnie, śmierć z tej oto ręki.
Niech twe życie w dal płynie spokojne i ciche

Pomyłka.





I. Hejże w prawo, hurra w lewo
brzuchem w krzaki, nosem w drzewo,
jak się upić to się upić
bić kto w drodze, skórę złupić.

Dwaj serdeczni przyjaciele
dziś wypili bardzo wiele
świat pijany, noc pijana
hejże hola, ojtadana!

II. Powrócili w progi domu
milczkiem, cicho, pokryjomu.
Obaj godni ci wspólnicy
żyli w jednej kamienicy.

Gruby trafił w drzwi sąsiada,
cienki w jego salon wpada
jak pijacy niemoralni
włażą prosto do sypialni.



III Cieńszy wlany jak cholera
marynarkę już rozbiera
nie wie o tem pomylony,
że do cudzej trafił żony.

Żona cudza się nie przyzna,
że jej obcy ten mężczyzna
– chętnie wdziękiem swym się dzieli
wpuszcza gościa do pościeli.





IV. A tymczasem druga dama
nie jest wcale taka sama.
Gdy gość guzdra się z hałasem,
ona w zad go bęc obcasem.

Ma nauczkę głupie cielę,
że w sypialni, jak w kościele.
Kto nie umie pieścić z cicha
tego za drzwi się wypycha.

V. Więc ucieka człek, jak zmyty
do właściwej swej kobiety. –
Sytuacja tam jest taka:
Żona pieści łeb pijaka.

Przerażony gruby człowiek
straszny obraz ściera z powiek.
„Zdrada! — krzyczy. – „A to złodziej!".
Żona mówi: „Nic nie szkodzi!".

Pomyślny rezultat.

Grosista Majer wychrzcił się i starał się namówić swego przyjaciela Fleckseifa, agenta z towarzystwa ubezpieczeń, by to samo uczynił.
— Jak do tego przyszło? — pyta agent.
— Spotkałem proboszcza X. i ten mię oświecił. On jest tak przekonujący, że nikt nie jest w stanie mu się oprzeć. Gdybyś ty z tym dusz pasterzem rozmawiał — uczyniłbyś to samo co i ja.
Po pewnym czasie udało się neoficie zapoznać agenta z proboszczem.
Jeszcze tego samego wieczoru przyszedł Fleckseif do swego przyjaciela i cały promieniał z radości.
— Całą godzinę byłem u proboszcza i muszę ci powiedzieć: nadzwyczajny człowiek.
— Słyszące to, bardzo się cieszę. Więc ostatecznie udało mu się p o z y s k a ć ciebie dla prawdziwej wiary.
— Wie heisst? Ja jego p o z y s k a ł e m. Ubezpieczyłem go od ognia i włamania.

■ ■ ■

Fatalne.

Gdy przed paru dniami odwiedziłem znajomego pana na wsi, spostrzegłem o jakie pięćdziesiąt metrów na polu postać pstro ubraną. Więc mówię:
— Czy taki straszak na polu rzeczywiście chroni przed ptactwem
— Bezwarunkowo — odpowiada on.
A potem zwracając się do owej postaci krzyknął:
— Chodź kochanie mamy gościa.

■ ■ ■

Na ulicy.

— Jak się masz Dawid, co słychać?
— Ot nic nie słychać.
— Słyszałem, że twoja żona już znowu, już piąty raz, to prawda?
— Niestety prawda.
— Na co ci tyle już masz cztery!
— Co ja temu winien, że ona każdy najmniejszy żart bierze na serjo.

■ ■ ■

Przytomność umysłu.

Przed laty, laty jeździł Maks Linder na występy od miasta do miasta, a wszędzie go witali i każdy go chciał zobaczyć.
Razu pewnego jedzie Maksiu na koniu przez Podhajce, tłumy go witają a jedna pani woła:
— Maksiuniu kochany, jak on jedzie, jak na statku.
Maks długo się nie namyśla podnosi ogon koniowi i mówi:
— Rzeczywiście jak na statku... proszę do... kajuty.

■ ■ ■

Nasze dzieci.

Nauczycielka: Helenko! Ile jest dziesięć mniej ośm?
Helenka milczy i patrzy zakłopotana na wizytującego klasę inspektora, który jej tajemnie dwa palce pokazuje.
Helenka: Proszę pani, pan inspektor prosi na stronę!

* * *

Matka (po gwałtownej scenie ze synem): Więc w ten sposób odzywasz się do matki, która cię porodziła w bólach?
— Czemu nie dałaś się zachloroformować? — woła syn z wyrzutem.

* * *

10-letnia Kazia: Słuchajno Zosiu — ja się dzisiaj dowiedziałam, że to nie bocian przynosi dzieci, tylko trzeba wpierw wyjść zamąż.
7-letnia Zosia: A ja wiem nawet, że i to nie jest koniecznie potrzebne.

* * *

Bona zabawia małego Jasia: Tu, tu, sroczka kaszkę ważyła — temu dała, temu dała, temu dała...
Jaś przerywając: A to niemoralna sroczka.

Monolog naszej panny.

— To strach z tymi mężczyznami. Jedni boją się zaczynać i nie mogą dojść do końca, inni chcą zacząć od końca, ot i nie wie się, co się ma z nimi robić...

Z rozmówek małżeńskich.

Mąż (w pasji): Kobieto! Mówię ci, jeżeli dalej będziesz sobie tyle pozwalała, że całe miasto o tobie mówi, to ci pokażę, że jestem mężczyzną...
Żona (przerywając): Już byłby najwyższy czas!

■ ■ ■

Bardzo słusznie!

Fischbein (do żony): Popatrz si Salczy, ty coś dzisiaj ani mi nie pocałowała, ani mi się nie uśmiechała ani razu, ani dobre słowo nie powiedziała, co tobi jest, ja zaczynam już być zły.
Fishbeinowa: Daj mi pokój, ja dziś nie jestem nastrojona.
Fischbein: Nastrojona!! Co to jest nastrojona? Albo ja si ożenił z fortepianem!

Mama Nowobogacka.

Starający się: Panno Stefo! czyliż mam mówić o mojej abnegacji?
Mama: Tylko bardzo proszę pana, nie odzywać się do porządnej panienki, z takiemi ordynarnemi wyrazami.

Ogłoszenia.

Stworzenie kobiety.

Nie myśl, duszo kochana, żeby Wielki Dżin naprawdę pierwszą kobietę stworzył z żebra adamowego. To jest stara bajka dla dobrych ludzi. A naprawdę było to całkiem inaczej.
Więc przedewszystkiem wielki Dżin siedział długo i namyślał się. Myśli jego latały na kształt rajskich ptaków, lub czarnych sępów nad ziemią, która jeszcze wtegy młoda była i zielona.
Nagle dobre oczy Wielkiego Dżina zapałały straszliwym gniewem, bo oto dojrzał na pięknej, soczystej, rajskiej łączce, pod cieniem wspaniałego, rozłorzystego rajskiego drzewa „bi-ba-bo" trzech herealnych, brudnych, nagich mężczyzn, leżących całkiem bezładnie na zielonej trawie. Słońce grzało miłościwie bezwstydne brzuchy, a z gałęzi spadały co chwila w rozwarte, szerokie paszcze — ciastka, daktyle, pomarańcze, puszki sardynek, tytoń do żucia i inne jeszcze lepsze rzeczy.
Co jednak było naprawdę oburzające, to że ci ludzie, którym przecież powodziło się wcale nieźle, sarkali głośno na Wielkiego Dżina, że ciastka są zbyt mało kruche, a tytoń zbyt gorzki i tym podobne brednie, choć wspaniałe, rozłożyste rajskie drzewo rodziło to wszystko naprawdę w najlepszym gatunku. Nic więc dziwnego, że oczy Wielkiego Dżina rzucały pioruny, i ryknął głosem potężniejszym od ryku trzystu wielbłądów.
— Zaraz mi się ztąd wynoście na pustą, bezwodną, kamienistą, gorącą, głodną, straszliwą pustynię.
Zerwali się mężczyźni, jak oparzeni i uciekli, ale bardzo wolno, pomaluśku, gdyż byli nadzwyczaj tłuści. Uciekli na sam koniec porosłej ostami pustyni i legli nad wielką rzeką, która szemrząc płynęła po piasku.
Leżeli znowu całkiem bezładnie, a słońce im okropnie dopiekało. Wstał więc jeden mężczyzna i krzyknął głosem strasznie znużonym:
— Z! — Ach! (co znaczy: słońce piecze tak okropnie, że doprawdy nie mogę wytrzymać i muszę zbudować dom).
A potem zawiał świeży wiatr prosto z raju i przyniósł słodko-przyjemny zapach ciastek, jabłek i sardynek. Wstał więc drugi mężczyzna, oblizał się i krzyknął głosem niemożliwie zgłodniałym.
— A! Go! (co znaczy: wiatr przynosi takie słodkie zapachy, a ja mam taki apetyt, że muszę zrobić wędkę i nałapać ryb, które podobno są wcale niezłe w smaku).
Wtedy na skraju puszczy zjawiły się wśród skał wielkie stada szakali i wilków, a trzeciemu mężczyźnie zadrżały nogi ze strachu i krzyknął:
— Uj! bu!! bu!! (co znaczy: te bestje mają okropnie złe zęby i oczy tak, że absolutnie nie mogę przyjść do siebie; zrobię więc w twoim domu, pierwszy mężczyzno, zamek i klucz, byśmy mogli bezpiecznie zamknąć się przed wilkami).
Tak więc zaczęli pierwsi ludzie pracować, gdyż na straszliwej, pustej, bezwodnej, kamienistej, gorącej głodnej pustyni było znacznie gorzej, niż w raju.
Wielki Dżin przez cały rok patrzał na ludzi okiem łaskawem. A gdy dom był gotów, klucz tkwił w zamku, a spiżarnia pełna była suszonych na słońcu ryb, przyleciał na chmurze, najeżonej piorunami i rzekł:
— O! pierwsi ludzie! Podziwiam waszą wytrwałą pracę i chcę ją nagrodzić; przywiozłem więc wam coś, z czego się, myślę, bardzo ucieszycie, lecz chcę usłyszeć o tem wasze zdanie. No mówcie śmiało.
Wtedy z chmury zeszła bardzo zgrabnie pierwsza kobieta i powiedziała głosem słodkim i perlistym.
— To ze mnie się ucieszycie. O! mężczyźni!
Pierwszy mężczyzna wysunął dolną wargę naprzód i rzekł, przyklądając się uważnie:
— Wielki Dżinie, któryś wygnał mię na pustynię, gdzie słońce tak okropnie pali! To, coś mi pokazał, jest jeszcze piękniejsze od mojego domu, który przecież zbudowałem własnemi rękami. Co za piękne, przejrzyste okna! Jakie okazałe marmurowe schody! A dach ojej! cóż to za cudowna słoma! Jednak, nie gniewaj się potężny, w budowie popełniłeś mały błąd: Pokój bawialny umieściłeś zbyt blisko... komfortu.
— A! bezwstydnik! Ten mały może być co najwyżej moim przyjacielem, — powiedziała kobieta i klasnęła raz w ręce na znak, że to, co powiedziała, uważa za nieomylne. Na to wystąpił drugi mężczyzna, przyglądając się z wyższością.
— Wielki Dżinie! któryś stworzył różne potwory, naprawdę zachwycające mię przerażeniem. Ten zamek oszlifowałeś bardzo misternie, ale cóż, kiedy każdy klucz do niego pasuje!
— A! łobuz i zarozumialec, ten będzie chyba moim kochankiem — rzekła kobieta i zarumieniła się bardzo ładnie, gdyż to, co powiedziała, niezmiernie ją wzruszyło.
Trzeci mężczyzna zmierzył kobietę wzrokiem bojaźliwym i powiedział, padając na kolana:
— Wielki Dżinie! to jest wędka z przynętą słodką i kuszącą, ale mię na nią nie złapiesz!
— Idjota! Bałwan! Dureń! — krzyknęła kobieta. — Ten będzie moim mężem i dam mu się porządnie we znaki!
A potem tupnęła nogą na znak, że to, co powiedziała, uważa za nieodwołalne, rozpuściła długie włosy i odeszła, kołysząc się w biodrach, a za nią mężczyźni, trzymając się za ręce.
Wielki Dżin patrzał na nich z politowaniem.

Bov.

Właściciel i wydawca: Czesław Lipiński. Odpowiedzialny redaktor T. Borzęcki. Drukarnia i kliszarnia „Nowości Illustrowane" pod zarządem L. Gronusia (firma Friedlein).

Piękna siłaczka



Ach, ćwiczę się i ćwiczę bez tchu i bez końca,
ciężarki i koziołki, gimnastyka szwedzka
kąpiel zimna we wodzie i kąpiel ze słońca.
— Nie będę nigdy żoną i nie chcę mieć dziecka.

Chcę być wielką królową sportu i atletów
Chcę pobić Carpentiera, sboksować siłaczy.
Chcę być sławna. Niech lutnie największych poetów
raz przecie o kobiecie śpiewają inaczej...

Cudne oczy, kształt boski? Królewna? bogini?!"
Bzdura wszystko i furda do stu jasnych grzmotów
Siła pięści i ścięgien — to z nas ludzi czyni...
Buch w nos, w ucho, bęc w piersi i już jesteś gotów.

Kadzicie mi, schlebiacie wy głupi mężczyźni —
mówicie mi żem piękna i zgrabna i miękka,
Kto raz jeszcze to powie — to chociaż mój bliźni,
wszystkie ząbki wybije mu z twarzy ta ręka

Więc ćwiczę się i ćwiczę bez tchu i bez końca
ciężarki i koziołki, gimnastyka szwedzka
kąpiel zimna we wodzie i kąpiel ze słońca...
— Nie chcę męża, ni domu i nie chcę mieć dziecka.